

“Marionetki w szkarłacie”

Wzdłuż brzegu morza rozciągało się ludzkie miasto przebijające chmury swoimi strzelistymi wieżyczkami, duszące się w oparach spowijających fabryki i lokomotywy pociągów, przesiąknięte deszczem, zawilgocone i unurzane w dymie papierosowym. Wiecznie zamglone i nieostre rozplątywało się w przygaszonym świetle latarni ulicznych. Zdawało się zadowolone z faktu, że zakłóca odwieczny spokój morza. Zadomowiło się tu i rozrosło, nie przejmując się wcale, że wkroczyło w jego samotność nieproszone. Ani myślało umykać przed naturalną potęgą. Pączkowało więc nadal ze wszech miar plugawe, a jednak tak dziwnie pociągające.

Jak co wieczór, przekraczając wodę, Serena nie mogła oderwać wzroku od jego wielkiego cielska nękającego w wątych promieniach zachodzącego słońca. Pewnego razu podczas wieczornej eskapady, zmęczona opływaniem miasta, położyła się w wodzie z myślą, że zmruży oczy tylko na chwilę i da odpocząć ciału. Pogrążyła się jednak w głębokim śnie, a ocknąwszy się o północy, stwierdziła, że miejskie życie ludzi bynajmniej nie kończyło się wraz z zapadnięciem zmroku, jak wcześniej sądziła, ono wtedy właśnie rozkwitało. Zafascynowana, zbliżyła się najbardziej, jak mogła do wyszczerbionej linii kamiennych budynków, by obserwować, jak miasto budzi się, ziewa i przeciąga po raz drugi w ciągu doby. Wpatrywała się w cienie tańczące w błyskach kapryśnych, to pojawiających się, to znikających świateł. Chłonęła chaotyczne dźwięki ulicy, jak gdyby były najpiękniejszą syrenią muzyką. Widziała, jak ludzie skryci pod płaszczami i fikuśnymi kapeluszami, wyrastali z ziemi niczym grzyby po deszczu, wylegając na ulice, rozlewając się po barach i gospodach. Nigdy nie pomijali co bardziej wątpliwych zaułków, nieraz ciągnąc do nich z większym jeszcze upodobaniem, jak gdyby brali udział w mistycznym rytuale, którego znaczenie pozostawało zakryte dla niewtajemniczonych oczu Sereny.

Nie znosiła tego miasta i z całego serca gardziła ludźmi, którzy nie kochali jak ona szumu morza, a przybywali nad nie jedynie po to, aby wyssać z niego potrzebne im do życia zasoby i zakończyć kolejne istnienia, których wartości nie uznawali. Nienawidziła ich, a jednocześnie tak bardzo pragnęła znaleźć się pośród nich, zakosztować życia, które wiedli, przepełnionego dymem, światłem i hałasem, że momentami czuła jak jej wygłodniałe ciało trawi gorączka, coś obrzydliwie nikczemnego oplata trzewia ciasnym supłem, nie pozwalając na zaczerpnięcie tchu. Wzbierało w niej dzikie pragnienie, by wbić paznokcie w ich skórę, wyłupić oczy, przegryźć gardło, połamać kruche kosteczki nadgarstków, ale nade wszystko, by wślizgnąć się w ich ciała i osiąść je na własność.

W ludziach było coś dzikiego, nieprzewidywalnego, tchnącego wolnością. Było w nich życie, które, choć krótkie i wątle, z jakiegoś powodu wydawało jej się bardziej namacalne niż jej własne. Było obecne w sposobie, w jaki się poruszali, w czułym, niemal nieuchwytnym

pulsowaniu krwi w ich żyłach, w ich dźwięcznym śmiechu, który niósł się falami po ulicach i do tej pory odbijał echem w umyśle Sereny. Jakże pragnęła wysączyć z nich to życie, wypić je do ostatniej kropli, pozostawiając ich ciała puste i wyschnięte, rozrzucone na bruku. Chciała nasycić się nim i zaspokoić głód drążący ją od środka, pustkę w sercu, otchłań morza dyszącą pod jej skórą, szumiącą w jej uszach, nieustannie wołającą za nią na granicy snów. Płynącą w jej żyłach niemożliwą do zaspokojenia tęsknotę morza.

Rozgarniała słoń w ramionami, podpływając najbliżej fundamentów miasta, jak zdołała. Poruszała się płynnie i szybko, osłonięta czernią nocy niczym płaszczem. Ze swoim szarozielonym marmurkowym ciałem, z łatwością niknącym wśród morskich fal, równie dobrze mogłaby być niewidzialna. Wpłynęła do niewielkiej zatoczki, nad której brzegami wznosiły się krzywe, zbudowane niedbałą ręką budynki. Chyliły się w stronę wody, jakby ta szeptała do nich, a one nadstawiały uszu, usilnie starając się usłyszeć jej głos i rozróżnić słowa porwane przez wiatr. Pośród ich cieni Serena znalazła sobie miejsce, z którego mogła swobodnie oglądać ludzi, samej nie będąc widzianą. Do jej kryjówki nie docierało żadne światło, choć ulice skąpane były w jego przydymionym blasku.

Tak ukryta, wpatrywała się w miasto, aż rozciągające się nad jej głową niebo, otworzyło się i wylało niczym morze w trakcie przyływu, rozpraszając swawolny spokój nocy. Ciężkie krople uderzały w ciemną połąć oceanu i z szumem ginęły w otchłani. Spływały z okapów domów na bruk, rozpraszając ludzi, jeszcze przed chwilą spokojnie chodzących po ulicach. Serena patrzyła, jak wbiegają w głąb budynków, kryją się pod dachami i zamazyście otwieranymi parasolkami. Tylko jedna kobieta wciąż stała niczym nieosłonięta na deszczu, opierając się plecami o bok kamienicy. Odchyliła do tyłu głowę, pozwalając strugą wody spływać po jej twarzy. Godzinę później stała dokładnie w tym samym miejscu, podczas gdy miasto wokół niej opustoszało.

Serena wpatrywała się w twarz kobiety jak urzeczona. Tchnęła spokojem i pewnością. Przyciągała ją. Namacalna, z krwi i kości, tak osobiście ludzka. Jasna skóra, półprzymknięte oczy, cień rzęs na zaróżowionych od chłodu policzkach. Choć znajdowała się tak blisko, była jednak nieosiągalna dla niej, żyjącej w mrocznych głębinach topieli. Serena poczuła się, jakby ktoś wbił nóż w jej serce i wyszczerzył się do niej zadowolony. Coś w jej krwi zawrzało i zagotowało się, pulsując bólem, ostre i nienawistne. Nagle zapragnęła porwać tę ludzką istotę do swojego królestwa. Pokazać jej potęgę morza, obedrzeć jej ego z warstwy aroganckiej pewności siebie, aż zacznie się bać wody, której krople teraz perliły się radośnie na jej zadartym nosie i policzkach, wygiętych w łagodny łuk różowych ustach.

Kiedy syrena śpiewa, jej głos przeszywa wodę i powietrze. Mąci myśli ludzi, poddając je swojej woli. I jak pająk na powierzchni splata misternie swoje sieci, aby schwytać w nie bezbroną ofiarę, tak teraz ona zaczęła snuć swoją pieśń, tkąć ją z gniewu i zawiści. Jej włóknami oplótła stojącą w deszczu kobietę i pociągnęła ku sobie, aż jej oczy otworzyły się

gwałtownie, a spojrzenie skierowało się wprost w czarną głębię. Oczy Sereny, zwykle szkliste i bladoniebieskie, teraz zasnuwał cień — znak jej natury i magii. Ciemność bezgwiazdnej nocy, hipnotyzująca, nie mniej niż jej głos zdolna mamić, wytrącać z równowagi ludzkie umysły, rzucać je w stronę szaleństwa. Śliska maź przelewała się ze źrenic w tęczęwki, pokrywała białka, zmieniała zwierciadła duszy w odbicie oceanu. Dźwięki pieśni to wzbierały, to nikły falami. Nieszczęśliwe, przepełnione tęsknotą i łzami umarłych. Natarczywe. Napierały na ciało i umysł, kęsały skórę, ostre jak cięcie noża, jaskrawe i subtelne jednocześnie, ciche niczym szept ptasich skrzydeł. Szarpały nerwy, kęsały, nęciły duszę obietnicą rozkoszy, piękna i grozy.

Oczarowana ludzka istota podeszła do krawędzi swojego świata. Ukłękła przed nią, wychylając się ponad wodą najbardziej, jak umiała, pragnąc jedynie znaleźć się jak najbliżej Sereny. Wzrok nadal miała utkwiony w jej oczach i nie spuściła go ani na chwilę, nawet, wtedy gdy czyjeś dłonie ujęły jej twarz, muskając skórę palcami. Nie uczyniła najmniejszego ruchu, kiedy te same palce nachyliły jej głowę w kierunku smukłej obojętnej twarzy o bezdennych oczodołach, a zimne, nieczułe usta przywarły do jej własnych, pociągając ją za sobą, aż nad dwoma splecionymi w uścisku ciałami zamknęła się ciemna topiel.

Woda wlała się w płuca kobiety, wypełniając je po brzegi, rzeźbiąc dla siebie naczynie w ludzkiej skórze. Została schwytana za gardło przez morze, istota z ziemi i powietrza zmuszona oddychać pod wodą. Zaczęła w końcu szarpać się i wrywać, siłować z żywiołem, któremu nie sposób sprostać. Zanim zdążyła wzburzyć wodę, czyjeś silne ramiona oplótły ją zachłannie i zatrzymały pod wodą, aż jej własne zwiędły i opadły niczym skrzydła martwego ptaka, ciało zwiotczało, stało się na powrót bezwładne i posłuszne woli Sereny, która nie zamierzała wcale na swojej zbrodni poprzestać. W upojeniu spoglądając w nieruchome oczy ludzkiej istoty, czuła, że poczyniła ostateczny krok, skoczyła z krawędzi, za którą nigdy wcześniej nie odważyła się zajrzeć, a teraz nagle nie było już odwrotu, pozostało przyciąganie, a ona mogła tylko spadać, zagłębiać się, niknąć w otchłani, którą obudziła.

W jej głowie coś obróciło się gwałtownie, koło zębate ze zgrzytem wskoczyło na swoje miejsce, budząc umysł z mglistego, delirycznego snu, wprawiając myśli w ruch, jakby były trybami zbyt długo spowalnianej maszyny. I chociaż nigdy wcześniej coś podobnego nie opuściłoby jej głowy, teraz kiełkujący w niej pomysł wydał jej się oczywisty, jasny i logiczny, a cel przypominał gwiazdę północną, na którą myśl kierowała się równie instynktownie co igła kompasu. Znała odpowiedź, szept na skraju świadomości, głos, którego do siebie nie dopuszczała i nigdy nie odważyłaby się przyznać, że należał do niej. Wiedziała, jak może wypełnić pustkę ziejącą w jej wnętrzu. Znała sposób na zbliżenie się do ludzi, tak by jej nie poznali i nie mogli powstrzymać, aby mogła napawać się ich czuciem, oddechem, ich własną muzyką, do tej pory dla niej niedostępną.

Przycisnęła martwą kobietę do miejsca, gdzie pod jej własną skórą powinno bić serce i poprowadziła ją za sobą w głębiny do oplecionej koralowcami, wydrążonej w skale jaskini. Gdy znalazła się przed nią, wyciągnęła przed siebie dłoń, a szept magii na jej skórze nie był rozkazem, lecz ledwie prośbą. Tym razem morze musiało pozostać na zewnątrz jaskini, nie mogło jej towarzyszyć. Nie można było powiedzieć, że było wobec niej uległe, to przeczyłoby jego istocie, lecz w końcu z nieznacznym szmerem sprzeciwu cofnęło się, a Serena wpełzła na suchą ziemię i położyła obok siebie martwą kobietę. Po czym ściągnęła z niej ubranie, nie mogąc się nadziwić, jak wiele warstw materiału ludzie są w stanie na siebie włożyć, a jednocześnie nadal potrafią się w nich sprawnie poruszać. Ubranie było przemoczone i miejscami zniszczone, ale innego nie miała i musiała się nim zadowolić.

Usadowiwszy się wygodniej na ziemi, Serena spojrzała oględnie na leżące przed nią nagie ciało, po czym wbiła w nie ostrze, z wprawą i wyczuciem przecinając skórę, krojąc mięśnie i ścięgna. Z niewielką pomocą skwierczącej w jej żyłach magii sprawnie oddzieliła skórę dziewczyny od warstw mięśni i kości. Działała ostrożnie z uwagą, pilnując, aby nie ciąć dalej niż to konieczne. Zależało jej na powłoce, nie zaś tym, co pod sobą skrywała. Ludzka skóra była niezwykle cienka i podatna na zranienia. Nic jej nie chroniło, żadnych pancernych łusek czy chociażby marnych piór, wszystko w niej było miękkie, delikatne i do bólu cielesne. Serena nie mogła zrozumieć, jak ludzie w ogóle mogli poruszać się w czymś takim po swoim twardym, pozbawionym rozkosznego ciężaru wody świecie i nie zginąć od byle potknięcia na bruku w deszczowy dzień.

Kończąc swoją pracę, Serena zakopała cuchnące szczątki dziewczyny na dnie morza. A one pochłonęło je zachłannie, wzdychając przy tym z błogością. Widocznie smakowały mu ludzkie flaki. Serena nie zamierzała się dłużej nad tym zastanawiać. Zamiast tego przyjrzała się swojemu dziełu i tym razem to ona westchnęła z zadowolenia. Leżąc przed nią bladoróżowa i gładka, jej nowa skóra, wyglądała zachwycająco. Serena włożyła całe serce i magię, jaką posiadała w swoje zadanie, nie zapominając o żadnym szczególe. Ludzka powłoka miała wszystkie palce, usta, nos, piersi, a nawet włosy — jasne fale tak różne od jej własnych prostych, czarnych włosów, błyszczących bordowo w świetle słońca. Nade wszystko jednak liczyło się to, że miała nogi, czyli jedyne czego Serena tak naprawdę potrzebowała.

Pozostała jej ostatnia próba, jedyna, której się obawiała. Nie mogła jednak pozwolić sobie na wątpliwości, nie teraz, skoro zaszła tak daleko. Wzięła głęboki wdech i oprowadziła nóż w stronę swojego ciała. Drżącą dłonią przyłożyła go do okrytego łuską ogona. W jej oczach fiolet mieszał się z błękitem. Opuściła powieki i zacisnęła szczęki, a kiedy jej ciało przeszył nagły, ostry ból, nie wyciągnęła ostrza. Łzy spływały po jej policzkach. Dysząc z bólu i nienawiści do siebie samej i tego, na co się porywała, rozciąła swój ogon, rozdzieliła płetwę i odrzuciła splamione ostrze. Kiedy nałożyła na siebie ludzką skórę, omal nie

zemdlała z bólu i obrzydzenia. I choć wnętrzości podchodziły jej do gardła, zmusiła się, by wydobyć z siebie głos i zaśpiewać jeszcze jedną pieśń o tworzeniu, przekształcaniu, łączeniu, zszywaniu. Zespoliła martwą skórę z żywą, rozszczepiła kości. Utworzyła coś nowego, co nigdy nie powinno powstać. Splotła ze sobą dwie powłoki, aż na ziemi leżała już tylko jedna postać z ciałem lepkiem od krwi. Ludzka skóra wtopiła się w jej własną. Z tułowia wyłaniały się gładkie, blade, zatrwająco ludzkie nogi. Błoniaste wypustki, które kiedyś wyrastały z jej kręgosłupa i ramion, zniknęły. Włosy, jeszcze chwilę wcześniej czarne, stały się białe jak pióra łabędzia.

Serena postawiła stopę na ziemi, próbując podnieść się na nogi. Zachwiała się jednak i ślizgając się we własnej krwi, upadła ciężko na ziemię, sycząc z bólu. Odczołgała się kawałek, szukając oparcia w skale za plecami. Czując jej chłód i niezachwianą siłę, jeszcze raz wyprostowała się powoli. Rozpostarła ręce. Jej nogi trzęsły się jak u dziecka stawiającego pierwsze kroki. Były sztywne i nieporadne. Westchnęła ciężko, ale odepchnęła się od ściany i zrobiła dwa niepewne kroki naprzód, po czym osunęła się na ziemię, drżąc. Miała wrażenie, że kiedy stawia stopę na ziemi, coś wbija się w jej skórę aż do kości, igła, ostry czubek noża. Przeszył ją nagły chłód, jakby zimny wiatr owionął jej skórę. Spojrzała w stronę porzuconych opodal ubrań, które ściągnęła wcześniej z martwego ciała kobiety. Podążyła w ich stronę, zataczając się i pojękując. Założyła na siebie w dalszym ciągu wilgotne ludzkie ubrania. Nie miała butów. Kobieta musiała zrzucić je z siebie, kiedy Serena wciągnęła ją pod wodę.

Drgnęła niespokojnie na tę myśl. Przestraszona, spojrzała przed siebie w stronę wylotu jaskini. Zapomniała, że nadal znajduje się w morskiej paszczy i będzie musiała jakoś wydostać się na powierzchnię. Nie była wcale pewna czy w tym nowym, wątlejszym ciele zdoła pokonać tę otchłań. Stojąc już nieco pewniej na nogach, podeszła do krawędzi jaskini i wyciągnęła dłoń w stronę ściany wody. Poczwała w palcach lodowate ukłucie. Woda, która kiedyś rozlewała się kojącym, ciepłym strumieniem po jej ciele, teraz pragnęła zostać jej grobowcem, udusić ją i pochłonąć. Nie mogła jednak zagrozić istocie, która pochodziła od niej samej. A Serena nadal należała do niej, choć ukryła swoją postać pod warstwą ludzkiego ciała. Odetchnęła głęboko i zamknęła oczy, nie pozwalając sobie na panikę. Poczwała, jak jej umysł ogarnia spokój, cisza wypełnia kości, a siła i pewność powraca do kończyn.

Serena zanurzyła się w wodzie, nie czując już strachu czy chłodu. Otworzyła usta, wchłaniając w siebie morze, które przepłynęło przez nią, nie czyniąc jej krzywdy. I chociaż ciężar ubrania pociągał ją w dół, a nogi nie pozwalały jej poruszać się tak zwinnie i szybko jak rybi ogon, wypłynęła w końcu z wody prosto w bezksiężycową ciemność nocy.

Wbiła paznokcie w drewno i podciągnęła się na molo. Bładolica, bosa ociekająca wodą stanęła na brukowanej ulicy w cudzym świetle, do którego nie miała praw. Wślizgnęła się weń pod osłoną nocy jak zbrodniarka. I tak też zapewne wyglądała, brakowało jej jedynie

siekiery u pasa. Wyjęła wodę z włosów, które opadły jej na twarz w jasnych strąkach. Obok niej latarnia zamigotała i zgasła, otaczając Serenę cieniem, jakby chciała ukryć jej obecność w mieście. Serena uznała to za zaproszenie i ruszyła wprost przed siebie, pewnym krokiem wchodząc w rozciągający się przed nią labirynt ulic i budynków.

Kluczyła między domami, na oślep wybierając ścieżki. Każdy zakręt był dla niej tajemnicą, nigdy nie mogła być pewna, co się za nim kryło, lecz mimo wszystko nadal czuła się, jak drapieżca, a nie ofiara na nieznanym sobie terenie. Nigdy nie uważała się za bezbronną, a wszystkie najgorsze scenariusze tej nocy, które przemykały przez jej myśli, wydawały się bardziej ekscytujące niż przerażające. Wywoływały dreszcz podniecenia i sprawiały, że krew szybciej płynęła w żyłach.

Gdy tak wędrowała, z jednego z budynków w głębi miasta, większego i bardziej okazałego niż inne, wybiegła nagle roześmiana para w czarnych strojach wieczorowych. Z dłoni ubranej w obszerną suknię kobiety, wypadła drobna, perłowa maska balowa i potoczyła się po bruku pod stopy Sereny. Kobieta chyba tego nie zauważyła, skupiona na ustach, które w ciemności odnalazły jej własne i okrytym warstwami jedwabnego materiału ciele, które przygnęło do niej, przyciskając jej plecy do ściany.

Serena schyliła się, by podnieść leżącą na ziemi maskę. Była na tyle wąska, by zakryć jedynie pas skóry wokół oczu i podkreślić łuk kości policzkowych. Wzięła ją w ręce i założyła, splatając srebrne wstążki z tyłu głowy. Następnie, kierowana ciekawością przemknęła obok kochanków do drzwi, z których ta się wyłonili. Pchnęła je lekko i weszła do zacienionego korytarza. Pod palcami stóp poczuła przyjemny chłód gładkiego, wypolerowanego drewna. W ciemności jej dłoń odnalazła ścianę. Serena przygnęła do niej i sunęła wzdłuż niej, aż natrafiła na kręcone schody z rzeźbioną balustradą. Kiedy wspinała się na piętro, jej uszu dolatywały stłumione ludzkie głosy mieszające się z cichymi dźwiękami muzyki. W końcu do jej oczu powoli przyzwyczajających się do mroku dotarł złotawy blask świec, a ona znalazła się na progu ogromnej komnaty skąpanej w blasku kandelabrow.

Stając w jej wnętrzu, Serena pomyślała, że właśnie wkroczyła do świata marionetek, porcelanowych lalek, nakręconych złotym kluczykiem i puszczonej w tan. Przed nią, niczym wzburzone morze, kobiety falowały w ciemnych sukniach okolonych pajęczynami koronek i falban. Mężczyźni otaczali je w talii ramionami, skłaniając twarze w ich stronę, jak robią to kwiaty, szukające blasku słońca. Ich wypolerowane na błysk buty lśniły w przydymionym świetle. Mankiety koszuli odginały się zgrabnie na nadgarstkach. Oczy wyglądały zza ozdobnych, błyszczących, jakby przyprószonych gwiazdowym pyłem masek. Dłonie tańczących łączyły się i rozplatały w rytm muzyki wydobywającej się spod palców pociągających struny fantastycznych instrumentów. Ze ścian na tańczących spoglądały uwiecznione na portretach nieznane jej twarze. Gdzie nie zwróciłaby głowy, napotykała ich czujny wzrok.

Oszołomiona całym tym ostentacyjnym nadmiarem piękna i przepychu, który jak słodkie nadzienie z ciasta wylewał się z każdego zakątka pokoju, Serena spojrzała w końcu w dół na swoją suknię: długą kremowobiałą, miejscami brudną, podartą i zniszczoną. Mokry materiał ciasno przylegał do jej ciała. Musiała tym ludziom wydać się upiorna. Przypominała zjawę na wpół żywą, poły martwą. A jednak nikt nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi, nie krzyknął na jej widok, nie wyrzucił ze swojego barwnego, nieskałanego brzydota świata i nie zatrzasnął za nią drzwi. Nikt nie zaszczyił jej nawet przelotnym spojrzeniem. Ludzie ci byli zajęci sobą. Oddani muzyce i porwom ciała. Nie spodziewali się intruza, który wejdzie w ich ślicznie wymalowany obrazek i rozerwie go na ich oczach. Piękni, niewinni i nieświadomi. Chłonęli siebie nawzajem, w bezpamięci, kierowani wewnętrznym pragnieniem, by się poruszać, czuć, delektować życiem, oddychać barwami i muzyką. Oddali duszę temu miejscu i tej chwili.

Serena jak zaklęta wsunęła się między ich ciała, dołączając do ich snu na jawie, dzieląc go z nimi. Tańczyła boso, patrząc na świat ich skórą i oddechem. Wraz z upływem czasu, muzyka stawała się coraz gwałtowniejsza. Jej stopy uderzały o parkiet w szalonym, dzikim rytmie, a ona nie zwracała uwagi na szkarłatne ślady, które zostawiała na podłodze, krew, która zaczęła sączyć się z czarnych jak żyły w marmurze, wąskich pęknięć na skórze jej nóg, perliste krople, plamiące czerwienią jasną suknię. Kiedy obracała się i wirowała, zostawiała rdzawe smugi na kobiecych spódnicach i falbanach, na męskich spodniach i marynarkach. Nie przejmowała się tym. Tańczyła, jakby chciała na zawsze zagubić się w plątaninie dźwięków, pozostawić tam duszę i nie wracać już nigdy do swojego ciała.

W tym wirze ciał wreszcie poczuła się wolna, swobodna, lekka jak wiatr i nieposkromiona jak burza. Nie zauważyła, kiedy z jej ust popłynęły pierwsze dźwięki syreniej pieśni, oplatając salę i ludzi, przyciągając ich do niej, niezdolnych oprzeć się jej głosowi, brzmiącemu w nim wołaniu morza. Zapominając o sobie nawzajem, ludzie Ignęli do Sereny, a ona wirowała w ich kręgu. Cudze ręce oplatały ją w talii, obce dłonie chwyciły za ramiona, muskały włosy, dotykały skóry. Ciała ocierały się o siebie w tańcu. Po skórze Sereny zaczęła spływać woda. Włosy stały się śliskie jak glony, przebłyskiwała spod nich czern, kiedy jej syrenia postać zaczęła przejmować ludzką powłokę. Póki jednak miała nogi, wiedziała, że będzie tańczyć. Skoro miała usta, mogła smakować, a dłońmi odkrywać.

Chwyta dłoń jednego z tancerzy i pociąga go w swoim kierunku, aż ich ciała splatają się w uścisku. Zauważa, że jako jedyny, nie licząc niej samej, nie nosi on czerni nocnego nieba, lecz perłową biel i dziwi się, że wcześniej nie spostrzegła go w tłumie. Zbliży usta do jego ucha i pyta szeptem o imię, a on słyszy ją pomimo napierającej na nich zewsząd muzyki. Dorian. Odpowiada. Miękki tembr jego głosu muska płatek jej ucha i osnuwa kość policzkową cieniem tajemnicy. Ma zmierzwione włosy w kolorze orzechów i pełne życia

zielone oczy, które spoglądają teraz bystro znad brzegów maski w jej własne, na powrót bladoniebieskie, zamglone o wąskich czarnych źrenicach.

Czy nasze imiona uległy zmianie, odkąd ostatni raz widzieliśmy swoje twarze? Przechyliła głowę w bok, niedowierzając. Więc spośród wszystkich ludzi, jakich mogła spotkać, trafiła na kochanka kobiety, którą okradła z ciała. Skłania głowę i patrzy, jak w jego oczach odmalowuje się szereg emocji: od konsternacji, zagubienia po ciekawość, jednak bez śladu lęku czy podejrzliwości, a ona nie takiej reakcji się po nim spodziewa. Zdradź mi zatem swoje. Serena. Mówi samym tylko oddechem, a on układa usta, jakby chciał poznać smak jej imienia na języku, jednak jego wargi opuszczają inne słowa. Kim jesteś? Twoją zgubą. Chce odpowiedzieć. Dziewczyną. Mówi zamiast tego, odrzucając głowę w tył i zarzucając włosami. Uśmiecha się szeroko i ostro, jakby cięła nożem, a on podąża za nią, owładnięty jej urokiem.

Spleceni ze sobą wirowali razem w tańcu, ledwo dotykając stopami ziemi, aż zaczęli chwiać się na nogach, które nie mogły ich dłużej utrzymać. Pijani muzyką próbowali łapać równowagę, mając za punkt podparcia jedynie swoje zataczające się ciała. Ich niegdyś białe ubrania, teraz lepiły się od krwi Sereny. Na jej ramionach więcej było marmurkowej, zielonej skóry i syrenich łusek niż ludzkiego ciała, które schodziło z niej płatami. Włosy prawie całe w czerni lepiły się do jej spoconego czoła. Ona jednak, niczym nieporuszona, nadal wpatrywała się uparcie w czarne źrenice oczu Dorigana, jakby były dla niej jedynym ośrodkiem grawitacji i skupiały w sobie cały jej ciężar. Trwali tak przez chwilę w bezruchu, zakotwiczeni w swoich spojrzeniach, pochyleni ku sobie jak kwiaty, aż w pewnym momencie ich twarze już nic nie dzieliło. Powieki im opadły, rzęsy zatrzepotały, rzucając rozedrgany cień na policzki. Ich usta przylgnęły do siebie z naturalną siłą ciężenia, która tkwiła głęboko zakorzeniona w ich ciałach. Dłonie desperacko uczepliły się chwili, osadzając ich w miejscu i czasie, przesuwając się po plecach i ramionach w nagłym napadzie głodu i pragnienia bliskości. Ich oddechy mieszały się ze sobą tak, że pochtaniali powietrze wzajemnie ze swoich ust. W pewnym momencie pochylona w kierunku Dorigana Serena z ustami nad jego gardłem odezwała się szeptem przerywanym pocałunkami.

Wy śmiertelnicy czujecie tak wiele. Płoniecie jasno i krótko. Wasze życie jest jak mgnienie. Jesteście iskrą, która w jednym momencie się rozpala, w drugim gaśnie bezpowrotnie. Pełni pasji, namiętności. Trzymacie się za wszelką cenę waszej wątłej nici życia. Zazdroszczę wam tego jako nieśmiertelna. Jestem córką morza. Stamtąd pochodzę, tam powrócę. Mogę wszystko i nie pragnę niczego prócz tego, co nie może należeć do mnie — waszego życia. Zawsze chciałam choć przez chwilę być jak wy. Zakosztować was, pożreć, wydrążyć wasze kości, napełnić moje żyły waszą krwią. Może nawet ostatecznie was pokocham, może to nasyci mój głód.

Po czym zanurzyła zęby w jego krtani, zlizując spływającą po niej krew. Jej człowiek — Dorian szarpnął się w jej objęciach, z wszystkich sił próbując się od niej oderwać. Z jego ust wyrwał się krzyk. Oczy otworzyły się szeroko w przerażeniu. Ukróciła jego oddech pocałunkiem. Wgryzła się w ciało. Smakowało młodzieńczo, świeżo. W jego krwi nadal krążyła jeszcze namiętność poprzedniej chwili, którą teraz zastępował szaleńczy strach. Serena sięgnęła w stronę jego klatki piersiowej i wbiła w nią ostre paznokcie. Sięgnęła w głąb, łamiąc stojące na przeszkodzie kości, jak niedorośle wiosenne gałązki, aż zacisnęła palce na wciąż jeszcze bijącym sercu. Wyrwała je zachłannie z jego piersi, rozrywając aorty, rozlewając krew, która pociekła szkarłatnym strumieniem po jej twarzy. Serena uciekła w morze z sercem kochanka, porzucając jego w pół rozdarte ciało we wnętrznościach skąpanego we krwi miasta.